Wydawnictwa rok 7.

Nr. 20. Lwów, 25. Stycznia 1885. **Rocznik VI.**

STRAŻNICA POLSKA

REDAKCYA ulica Trybunalska Nr. 1.
ADMINISTRACYA i EKSPEDYCYA
Rynek l. 9., dokąd wszelkie należytości przysyłać należy.
Sprzedaż pojedyńczych numerów w Antykwarni p. L. Pordesa, ul. Trybunalska l. 1., w Administracyi Rynek l. 9, i w Redakcyi ul. Trybunalska l. 1.
W Stanisławowie u kolporters p. G. Paternowskiego.

DWUTYGODNIK
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.
WYCHODZI CO DRUGĄ NIEDZIELĘ.
Numer pojedyńczy kosztuje 12 centów.

PRZEDPŁATA
na „Sztandar polski“ i „Strażnicę polską“ kosztuje kwartalnie:
we Lwowie (bez przesyłki) 1 zł. 50 ct.
„ z przesyłką 1 „ 70 „
na prowincyi . . . . . 1 „ 75 „
za granicą . . . . . . 2 „ — „
Inseraty od wiersza (petit.) 5 ct.

†

ŻYWOT

ś. p. Dra Tadeusza Żulińskiego

skreślił

J. N. z Olekscwa Gniewcsz

towarzysz więzienia i tułactwa.

Dzień 18. Stycznia 1885, a działo się to w Niedzielę, był mroźny, ale piękny, jasny; gdyż słońce zimowe zeszło w całym majestacie ponad Lwowem, tą prastarą stolicą Rusi Czerwonej.

Rychłym rankiem już, mieszkańcy w pobliżu ulicy Gliniańskiej (dzielnica Łyczakowska) roznosili wieść hiobową, która jakby iskra elektryczna obiegła wkrótce całe 100-tysięczne miasto. Gdzie się tylko ktoś ruszył, słyszał słowa wymawiane nietylko z żalem, ale często i ze łzą w oku:

„Tadeusz Zuliński nie żyje!“

Lecz nie dosyć na tem, bo zaledwie kilka godzin upłynęło od pierwszej wieści, a już się zwoływali i gromadzili różnych stanów obywatele, aby szybko uradzić, w jaki sposób oddać hołd pośmiertny **„dobrze zasłużonemu Ojczyźnie synowi“**. A musiały to być niepoślednie jego zasługi, gdy już w południe, Prezydent miasta Wacław Dąbrowski, zwołał o ile się dało liczne grono rady miasta, i powzięło jednogłośną uchwałę ogłosić, że Rada stołecznego miasta Lwowa wraz ze swym zacnym Prezydentem, uchwaliła oddać w imieniu miasta Lwowa, cześć pośmiertną śp. Dr. Tadeuszowi Żulińskiemu, chowając ciało jego własnym kosztem i czcią, na jaką miasto stanie.

Nie potrzebujemy mówić, że takie postanowienie w stolicy jakiegokolwiek kraju, jest wielkiej doniosłości i znaczenia, gdyż w ten sposób oddaje się ostatnią usługę, tylko wielce znakomitym mężom, książętom, hetmanom i innym wielkim obywatelom. Zkądże więc zasłużył sobie na tę pogrobową cześć, ten cichy mąż, który w skromnej szacie, prawie zawsze pieszo bez różnicy dnia i pory roku, ruszał się tylko najwięcej po ulicach i zaułkach, gdzie nędza obrała sobie siedzibę. A na tej drodze rzadko szukają zwykli śmiertelnicy sławy i zaszczytów. Pomimo to, nietylko wielce szlachetna Rada miasta, ale cały szereg obywateli różnych zawodów, i stojących na wybitnych stanowiskach, a szczerych wielbicieli cnót zmarłego, towarzyszy w ważnych wypadkach żywota i przyjaciół osobistych, utworzyli drugi komitet również poważny, aby z odpowiednią godnością zanieść zwłoki do mogiły wielkiego miłośnika—B o g a, O j c z y z n y i l u d z k o ś c i.

A gdy echo rozniosło tę wieść po za mury stolicy, po całym kraju i po całym obszarze ziem polskich, ze wszystkich tych stron łączyło się współczucie bratnie i żal serdeczny z tymi, którzy otaczali bezpośrednio trumnę śp. Tadeusza. Biorąc z tych objawów miarę, nabierały też i komitety coraz ważniejszego przekonania, że tu nie obywatele Lwowa, ani Galicyi, ale całej Polski, złączą się po nad mogiłą ś. p. Tadeusza Żulińskiego; bo chować go będzie Polska, Ruś i Litwa.

Zanim jednak przystąpimy do tego dziwnie wspaniałego obrzędu, który wyszedł z wdzięczności narodu, mamy obowiązek przekazać nietylko obecnemu, ale i przyszłym pokoleniom, kogośmy to rzeczywiście do grobu złożyli.

Do Ciebie to przedewszystkiem młodzieży polska, zwracamy nasze słowa, abyś rozbierała pilnie żywot śp. Tadeusza Żulińskiego dla własnej świadomości, jak to żyć potrzeba i pracować, aby się stać godnym imienia: „Apostoła wielkiej idei narodowej“. — Oto wielka i cenna spuścizna, którą ci młodzi polska, przekazuje ten niezmordowany pracownik na niwie doli narodu, ta zielona nadzieją i wonna kwiatem przyszłości latorośl, która wyrosła na ojczystej ziemi, skrapianej krwią i łzami milionów. Wyrosła z rodziny pod anielskiemi skrzydłami Macierzy, a którą to rodzinę śmiało nazwiemy: „Bożą czeladką“.

I do was Dziewice polskie, szlemy słowa nasze; — baczcie i wy pilnie na tę drogę żywota znakomitego męża, któremu była przewodnią gwiazdą: „Matka rodzicielka“. To też śp. Tadeusz widział zawsze i czcił w Dziewicy polskiej, posłannictwo wielkiej idei narodowej, które spełniać winna każda matka Polka.

A więc posłuchajcie dziejów jego żywota:

S. p. Dr. Tadeusz Żuliński, urodził się dnia 30. Listopada 1839 r. w Krakowie z matki Barbary Michelsohn, p r o t e s t a n t k i, której rodzina zamieszkała jednak od dawnych czasów na polskiej ziemi i takową ukochała. Z ojca Tadeusza Żulińskiego, byłego urzędnika Królestwa Polskiego przy komorze celnej w Krakowie. Gdy ojciec rodziny umarł, pozostawił ośmioro dzieci sierotami, to jest: — (notujemy tu według starszeństwa wieku): Kazimierza, Aleksandra, Romana, Emilję, Zofię, Tadeusza, Józefa i Edwarda. Najstarsze dziecko liczyło lat 12, a najmłodsze półtora roku.

S. p. Tadeusz Żuliński ojciec, był to człowiek wysoce prawy, to też nie dziw, że chociaż urzęda cłowe przynosiły znaczne korzyści, on umierając, pozostawił rodzinę z nader małymi zasobami, uławiającemi byt. Dwa tysiące złotych polskich czyli 500 złr. w. a. pensyi, jaką wdowie przyznano, stanowiły jedyny środek nietylko wyżywienia, ale i wychowania ośmiorga dziatwy. Czegoż jednak nie dokona „matka obywatelka“, która zrozumiała swoje powołanie na ziemi. A ś. p. Barbara z Michelsohnów Żulińska, aczkolwiek protestantka, była że tak powiemy, prototypem niewiasty, która wraz z Bogiem, ukochała całą duszą tę ziemię, na której się zrodziła, a którą już jej rodzic i macierz nauczyli ją kochać.

Związek małżeński pomiędzy nią protestantką, a mężem katolikiem, zawarty został jedynie na podstawach wzajemnych miłości i szacunku; nie dziw więc, że gdy Bóg obdarzył tę szlachetną parę dziatwą, nie było tam sporów, że: synowie pójdą w wyznaniu wiary za ojcem, a córki za matką, jak to się nader często zdarza, lecz matka protestantka, wychowywała dziatwę najpilniej i najtroskliwiej w wyznaniu wiary męża, to jest katolickiej.

Dla wielkiej miłości rodziny, dla spójni tejże w duchu ewangelicznym, nie dała nigdy dzieciom poznać, że ją różni z nią wiara ojca. Nie dosyć na tem, ona, protestantka, uczuła w duszy szczególną cześć i nabożeństwo do Matki Boskiej, Królowy Polski — i do niej się też jedynie w każdym trudnym okresie żywota uciekała.

Nadeszła jednak chwila ważna, gdy syn jej najstarszy Kazimierz, obrawszy sobie stan duchowny, miał zostać księdzem i otrzymać ostatnie święcenia. Podług praw kanonicznych, jeżeli syn zrodził się z rodziców, którzy nie są jednego wyznania wiary, wyświęcenie kapłana doznaje pewnych trudności. Wtenczas to śp Barbara Żulińska przyjęła wiarę rzymsko-katolicką i aż do skonu wyznawała ją myślą, duchem i czynem.

Do roku 1846 mieszkali Żulińscy w Krakowie. Gdy jednak miasto to przestało być Rzeczą pospolitą, a więc i urząd, który Tadeusz Żuliński ojciec zajmował, został zniesiony, przenieśli się do Warszawy, gdzie wkrótce ojciec zakończył żywot, a jak to wyżej nadmieniliśmy, matka była jedyną opiekunką ośmiorga sierot. Po nad nią zajaśniała jednakowoż widocznie „Łaska Boża“, która wątłej ciałem macierzy, dodawała tak wielkich sił ducha, iż ta, zamieniła to sieroce ognisko domowe, na prawdziwie „Bożą czeladkę“. A panowała tam taka harmonia, taka łączność, taka miłość i ofiarność wzajemna, iż nic nie powiedzieliśmy za wiele, dając tej gromadce powyżej zaznaczone miano.

Sp. Dr. Tadeusz Żuliński był z rzędu szóstem dzieckiem Tadeusza i Barbary, a urodził się w Krakowie dnia 30. Listopada 1839 r. Był on wątłego ciała, a od dzieciństwa zdrowie jego pozostawiało wiele do życzenia. Będąc dzieckiem jeszcze, zachorował niebezpiecznie na zapalenie kiszek, a które się okazało tak groźnem, iż lekarze ówcześni warszawscy, zaordynowali wówczas praktykowaną „żywą kąpiel“, t. j. — puszczono dziecku krew w kąpieli. Czy taka silnie radykalna kuracya nie wpłynęła ujemnie na rozwój ciała, mogłaby na to odpowiedzieć teraźniejsza wiedza lekarska. Później, przebył śp. Tadeusz tyfus; następnie dostał w r. 1867, gdy badał wystawę światową w Paryżu jako przyrodnik i medyk — reumatyzmu głowy. Podczas oblężenia Paryża, z powodu używania nieodpowiedniego bo często zepsutego pokarmu, dostał szkorbutu. Oprócz wymienionych a niebezpiecznych chorób dodać należy, iż mianowicie będąc jeszcze na uniwersytecie w Kijowie, podlegać zaczął „migrenie“, która szczególniej zacząwszy od czasów więzienia w kryminale krakowskim, a później na zamku, stawała się coraz dotkliwszą i groźniejszą. W kryminale krakowskim, gdzie piszący przez sześć miesięcy siedział ze śp. Tadeuszem razem w jednej celi, (o czem niżej) migrena ta była tak gwałtowną, iż co najmniej raz w tydzień, śp. Tadeusz leżał po 24 do 48 godzin, dręczony szalonym bólem głowy, bez pokarmu i przytomności na tapczanie więziennym. O tych dolegliwościach ciała piszemy dlatego na początku, aby uprzytomnić, w jakich to warunkach ten mąż ewangelicznych cnót, spełniał swe obowiązki żywota.

Przypatrzmy się teraz bliżej jego pierwszej młodości. Otóż trudno by było zaiste określić, kiedy on rzeczywiście przestał być dzieckiem, a raczej jak długo niem był. Maleńki Tadzio od chwili gdy zaczął chodzić i mówić, rozwijały się w nim już miłość do Boga, macierzy i rodzeństwa,

w niezwykłym na ten wiek stopniu. Dziwnie się rozjaśniał umysł dziecięcy i rozsądek; — to też nietylko macierz, ale całe rodzeństwo ukochało całą duszą małego braciszka. Pierwszą nauczycielką jego była matka a potem starsi bracia.

W 1850 r., a więc w jedynastym roku życia, oddany został Tadeuszek do gimnazyum realnego w Warszawie, i tam aż do ukończenia tegoż t. j. do roku 1858, był prawdziwą chlubą tego zakładu naukowego. Zdobył on sobie szacunek i miłość powszechną nietylko u kolegów i towarzyszów młodości, ale u nauczycieli i tych wszystkich, którzy go bliżej znali. Dziwnie łagodnego charakteru, spokojny i zdobywający naukę szczególnie obowiązkową surowością, nie przeszkadzało mu to jednakowoż, że był żywy i wesoły, i że mała główina w wolnych chwilach od nauki, roiła się pomysłami niewinnych figielków, rozweselających jego całe otoczenie. Badając jego zabawy dziecinne jako młodzieniaszka, dowiedzieliśmy się, że strojenie ołtarzyków, odprawianie nabożeństw na główne uroczystości kościelne, a nawet kazania, były jego, że tak powiemy, główną namiętnością, w której mu młodsi bracia wiernie dopomagali.

Sierotki Żulińscy, kochani byli przez wszystkich mieszkańców domu, w którym mieszkali, a nawet służba tak się w malcach lubowała, że gdy Tadzio ubrał ołtarzyk i zapowiedział nabożeństwo, schodziły się służące, stróż i stangret, klękali i brali szczery udział w tych modłach.

Duch tej nabożności był przewodnikiem całego żywota śp. Tadeusza aż do skonu. Pomimo to nabożność ta nie przeszkadzała mu, że był wysoce wyrozumiałym dla bliźnich, nie narzucał im się i nie świecił swą nabożnością w sposób, który zakrawa na świętoszkostwo, bo to była rzeczywiście potrzeba duszy a nie komedya. Ale też takiem właśnie postępowaniem dokazywał on większych cudów, aniżeli nie jeden zapalony misyonarz i nawracał niejedną zbłąkaną duszę, która przestawała wierzyć w istność Boga i jego wszechmocność. Był to mówiąc po polsku, w całem słowa tego znaczeniu: — „Żołnierz Maryi" (Sodalis Maryanus), jak go ojcowie nasi pojmowali. A był to przecież nie ciemny człowiek, ale z zasobem niepospolitej wiedzy, szczególniej w dziedzinie przyrody był on ścisłym badaczem. Wiedza ta nie doprowadziła go jednakowoż do bezwyznaniowości, ale przeciwnie, do uwielbiania wszechmocnej twórczości Boga, tego najwyższego ideału w odwiecznych dziejach ludzkości.

Z tym to puklerzem szedł mężnie po bohatersku ś. p. Tadeusz po trudnej drodze żywota ludzkiego i z pieśnią na ustach do Maryi Królowej niebios, walczył jak prawdziwy żołnierz, rycerz polski,— apostołując wielką, czystą ideę narodową. Był on rzeczywiście jakby gwiazdą poranną, która po ciemnej nocy zapowiada dzień jasny, słoneczny.

Aby dać przykład jaki to tam był silny prąd do pracy w tem wątłem ciele, nie zawadzi przytoczyć, iż mały Tadeuszek pomiędzy 10 a 11 rokiem życia, a więc wtenczas, gdy dopiero wchodził do gimnazyum, ułożył książkę do nabożeństwa, a następnie opracował życiorysy św. apostołów, do których, posiadając również dar artystyczny, wyrysował odpowiednie obrazki. Czas jakiś wydawał później gazetkę pisaną – dla kolegów. — Gdy już był cokolwiek starszy a zaczął się uczyć fizyki i chemii, to do tych przedmiotów nabył szczególniejszego zamiłowania, i niebawem w domu stworzył sobie laboratoryum fizykalne i chemiczne, które mu służyło do wszelkich odnośnych doświadczeń. Uporządkowanie tej pracowni było przy szczupłych funduszach Tadeusza tylko w ten sposób możebne, że każdy przyrząd lub machina, były przez niego samego własnoręcznie wykonane, przy zastósowaniu jak największej ekonomii, Jakkolwiekbądź, pociągało to za sobą wydatki. Skądżeż więc Tadeusz czerpał takowe przy więcej jak niedostatecznej pensyi, którą matka pobierała? Otóż tu nie od rzeczy będzie wskazać, jakich to cudów dokonuje miłość i łączność rodzinna.

Starsi bracia Tadeusza, w których matka wpajała zasady szlachetne, przez co pojedyncze ogniwa rodzinne łączyły się w łańcuch nierozerwany niezłomnego hartu, dostarczali środków. Łańcuch ten otoczył ognisko domowe i czuwał nad tym świętym Zniczem. Jak tylko który z braci mógł oprócz własnej nauki i na zewnątrz pracować, poskramiając młodzieńczą fantazyę i osobiste wyłącznie uciechy, usiłował zarabiać pracą przez dawanie lekcyi innym kolegom, a grosz w ten sposób zarobiony, niósł do wspólnej kasy rodzinnej.

Moralność i celujące stopnie w naukach, jakie każdy z braci Żulińskich zdobywał na ławach szkolnych, dawały im pierwszeństwo, i ubiegano się o nich, a nawet wynagradzano lepiej za udzielane lekcye.

Taka wspólna mrówcza praca, broniła domowe ognisko od niedostatku, a „najukochańszej" mateczce umniejszała z każdym rokiem trosk o byt codzienny. — Dom ten rósł w zamożność duchową, gdyż tak jak ś. p. Tadeusz, który się otaczał środkami nauki, i inni bracia gromadzili do wspólnej skarbnicy wszelkie bogactwa, na które się tylko zdobyć mogli. Niewiadomo nam, czy nawet w zamożnych domach, realnie bogatych, można się było w tych czasach spotkać z takim obrokiem duchowym, jak u Żulińskich. U nich powstała doborowa książnica, przedstawiająca wszelkie działy wiedzy czy to dziejowe, literackie, dzieła klasyków, poetów, o sztukach pięknych; wogóle wszystko, co było szlachetne i wzniosłe. Taka harmonia ducha nie dziw, że gromadziła na okół siebie liczny zastęp rówieśników a nawet ludzi starszych, którzy na dom Żulińskich patrzyli z prawdziwą czcią, a niejeden za zaszczyt sobie poczytywał, jeżeli miał tam przystęp i witany był jak brat rodzony.

Wiemy to od naocznych i wiarogodnych świadków, że przy ognisku Żulińskich niejedno serce się zagrzało i rozpromieniało, z którego przedtem wiało tylko zimno, a iskra ducha Bożego z biegiem złowrogich wichrów, otoczona była jakby bryłą lodu. Ileż tam powitano pięknych i szlachetnych myśli, które z tego czystego źródła wychodząc, zamieniały się później w czyn. A tak się to wszystko działo cicho, bez rozgłosu, bez szumu i puku, a tem więcej bez samochwalstwa, że wypływające myśli zaledwie cichutkim szmerem strumyka płynęły dalej i dalej, dopóki nie zamieniły się w widomą rzekę, która jakby rosa ożywcza orzeźwiała i powoływała do życia nadbrzeżne puszcze, leżące odłogiem.

Gdybyśmy szli za znakami tych strumyków, moglibyśmy uwidocznić, ile one ożywczej rosy wylały na spieczoną ziemię nietylko Warszawy ale i Polski. Grono tych dzielnych pionierów lepszej naszej przyszłości, miało głównie na celu podnoszenie wysoko, niepokalanego sztandaru narodowego. A jakkolwiek wszyscy bracia spełniali sumiennie swój obowiązek obywatelski, to ś. p. Tadeusz i Roman, który zginął śmiercią męczeńską, powołany na członka Rządu narodowego w 1863 r., poszli najdalej w posłannictwie swojem.

S. p. Tadeusza mieliśmy sposobność poznać wśród tego strasznego waru powstańczego w r. 1863, gdy duch jego rósł do potęgi, a przytomność umysłowa i prawdziwie wyższe poglądy, wyłaniały się jakby z ciała bohatera. Znamy kilka faktów takiej doniosłości, a były to myśli godne nawet rzeczywistego dyktatora rewolucyjnego, które gdyby były znalazły echo i poparcie wśród nieszczęsnego chaosu, mogły znacznie zmienić sytuacyę naszego powstania. Potrzeba było jednakowoż ku temu mieć zupełnie inny rodzaj energii, aniżeli ś. p. Tadeusz, który nie umiał po prostu i nie chciał swego własnego *ja*, wysuwać na pierwszy plan. Nie był to brak odwagi, ale ta szlachetna skromność, którą się rządził podczas całego żywota swego. Był on każdej chwili przygotowany nawet na śmierć męczeńską jak brat jego Roman, uznawał nawet potrzebę w pewnych wypadkach terroryzmu, chociaż z zasady nie byłby nigdy przyłożył ręki ani swego głosu, aby wywrzeć skuteczny nacisk na ludzi i pewne warstwy społeczne, którzy brakiem ofiarności przyczyniali się wielce do niepowodzenia powstania. Dzisiaj za rychło, abyśmy o tych rzeczach mówić mogli. Pamiętamy jednakowoż bardzo dobrze, jakim bólem i goryczą napełniali go ci rodacy, którzy z judaszowskim cynizmem kopali coraz głębszy grób dla Matki Polski.

Odstąpiliśmy znowu od życiorysu kronikarskiego śp. Tadeusza, ale niech się temu czytelnik nie dziwi, gdy żywot taki nastręcza coraz nowe myśli i uwagi, godne zastanowienia.

Po ukończeniu gimnazyum, aczkolwiek realnego, Tadeuszowi nie były obce i języki starożytne, a mianowicie łaciński. Od dziecka obserwował on szczególniej biedę i nędzę maluczkich. Znał on jej wszystkie tajniki, to też gdy miał postanowić o swoim przyszłym losie, wybrał zawód lekarski, jako taki, przy pomocy którego mógłby najwięcej nieść pomoc nieszczęśliwym. Wstąpił do niedawno założonej w Warszawie polskiej akademii medycznej, lecz już po dwóch latach z powodu sprawy Cycuryna, głośnej wówczas, opuścił Tadeusz Warszawę i wyjechał z bratem swoim Józefem do Kijowa, gdzie się dalej kształcił w uniwersytecie.

Powaga, jaką sobie bracia Żulińscy zjednali w uniwersytecie warszawskim pomiędzy kolegami, spowodowała wielu, że za nimi podążyli nad Dniepr do Kijowa, wnosząc tamże ideę wolności i odrodzenia narodowego.

Zaznaczyć należy, że działalność śp. Tadeusza Żulińskiego, która weszła na szersze pole patryotyczne, pracy, mającej na celu przyszłość Polski, tu się dopiero właściwie rozpoczyna w Kijowie; gdyż dotąd, jakkolwiek działał w swym zakresie o ile mógł dodatnio, zdobywanie wiedzy jako klucza do przyszłego żywota, pozostawiało mu bardzo mało czasu, do brania udziału w sprawach politycznych. Występując na tę trudną i niebezpieczną arenę, zbroił się w naukę, niezbędną w takich razach.

Zaledwie zaczął uczęszczac na uniwersytet w Kijowie, gdy nadeszły tamże pierwsze wieści o manifestacyach jakie się w roku 1861 rozpoczęły w Warszawie; — że krew zbryzgała ulice stolicy Polski, i że padło pięś pierwszych ofiar.

Na hasło to, zawrzała bezbronna walka na całej przestrzeni Polski. Wielka walka moralna ducha; a hymny wznoszone do Pana nad Pany z piersi milionów, błagały o najdroższe prawa narodu, których nigdy żadna przemoc z piersi wydrzeć zupełnie nie zdoła; — bo chcąc tego dokonać (użyjemy tu orzeczenia znakomitego Niemca, nadreńczyka Deiksa adwokata, który w sławnym procesie politycznym Polaków w Berlinie 1847 r. na dniu 2. Grudnia po przeczytaniu wyroku, wskazującego podsądnych na karę śmierci i ciężkie więzienia, wypowiedział jakby w jasnowidzeniu, wielką prawdę): „Chcąc Polskę pokonać, należałoby otoczyć ją całą chińskim murem, a następnie wpuścić taką armię, któraby zacząwszy od siwowłosego starca nad grobem, aż do niemowlęcia w kołysce, wytoczyła krew z żywych; i gdy taka ostatnia kropla stężeje i ostygnie, wtenczas dopiero będzie można powiedzieć, że ten naród zwyciężony. Jak długo to nie nastąpi, bądźmy przygotowani, że o uszy nasze i naszych potomków, obijać się będzie przez wieki hymu: — „Jeszcze Polska nie zginęła!"...

Nie dziw, że w imię tej prawdy, zawrzała żywiej krew i w młodzieży akademickiej na uniwersytecie kijowskim, i że w tak szlachetnej duszy jak śp. Tadeusza Żulińskiego, odezwał się głos: „Teraz czas, abyś i ty stanął w bratnich szeregach do walki".

Lecz nietylko młodzież akademicka, ale i Kijowianie łączyli się duchem z bracią w Warszawie. Rychłym rankiem czytali mieszkańcy Kijowa na ulicach porozlepiane plakaty, zwołujące na nabożeństwo za ofiary w Warszawie pobite. Plakaty te były nietylko pisane ale i własnoręcznie rozlepiane przez śp. Tadeusza Żulińskiego.

Winniśmy jeszcze dodać, że gdy na uniwersytecie Kijowskim zawiązała się organizacya „gmin uniwersyteckich", rozbudzająca życie naukowe, śp. Tadeusz pierwszy do nich należał; — a były to pierwsze ogniska narodowego ruchu.

Pomimo zachowania największych ostrożności, władze moskiewskie zwróciły szczególną uwagę na śp. Tadeusza; to też gdy mu groziło niezawodne uwięzienie, przeniósł się z bratem Józefem do Pragi, gdzie kończyli nauki uniwersyteckie. Pobyt tamże śp. Tadeusza ma bezzaprzeczenia wielką doniosłość polityczną w zawiązaniu stosunków z Czechami, które do tej chwili były — prawdę powiedziawszy — smutne.

(C. d. n.)

M. T. Rajewski i rossyjski panslawizm.

Wspomnienia z chwil przeżytych i przedumanych — napisał **Kornel Ustyanowicz,**

przełożył z ruskiego **Mieczysław Wolański.**

(Ciąg dalszy).

Starałem się usprawiedliwić świętojurców, bo serce moje było wówczas wciąż jeszcze podzielone, i niejako do obu stronnictw należałem. Usprawiedliwiałem ich tem, że niektórzy ukrainofile sami spowodowali nieuzasadnione podejrzenie na partyę o zaprzedanie się Lachom. Mianowicie zawinili Ksenofont Klimkowicz i Teodor Zarewicz. Pierwszy wydawał *Metę;* gdy ta przestała wychodzić, pojechał do Wiednia, brał pieniądze od Rajewskiego na wydawnictwo w języku moskiewskim *Sławiańskiej Zarji*, a powróciwszy do Lwowa, wydawał wspólnie z Teodorem Zarewiczem, byłym rcdaktorem *Weczernyć* za polskie pieniądze *Ruś*.

Jednak później przekonałem się, że śto-jurcy dobrze wiedzieli o tem, iż Klimkowicz tylko dla chleba redagował *Zarję sławiańską*, nie sprzeniewierzył się nigdy swej narodowej idei, i że tak on, jak i Zarewicz i O. Lewicki objęli redakcyę *Rusi* tylko dla tego, aby nie popadła w niebezpieczne dla Rusinów ręce; śto-jurcy wiedzieli i o tem, jak oni eksploatowali Abaukura i jak doprowadzili *Ruś* do tego, że Gołuchowski zmuszony był wytoczyć proces jej redaktorowi o nadmierne występowanie i podburzanie przeciw Polakom i przeciw niemu samemu. Wiedzieli oni o tem, bo mi sami o tem opowiadali, a szczuli na narodową partyę dlatego tylko, że bali się rozgromu.

I nie zawiedli się. W roku, zdaje się 1869, odbywało się zwyczajne zebranie „Ruskiej Besidy“. Na to zebranie zjawili się ukrainofile w komplecie; śtojurców przybyło mniej, i ukrainofile mieli przewagę. Postanowili więc wykorzystać sytuacyę i przeforsować kilku swoich do wydziału „Besidy“. Tak się też stało, że do zarządu „Besidy“ weszła większość „młodych“.

I cóż myślicie, starszyzna nasza uczyniła? — Czy pozostała w „Besidzie“, ufna w swój szacunek i zasługi, których jej nikt nie odmawiał? Czy starała się wpłynąć chłodną rozwagą na młode umysły, aby nie dopuścić do grożącego rozdwojenia? — Nie! Ona gromadnie wystąpiła z „Besidy“, a wystąpiła, pozostawiając tam nie zapłacone wkładki po 60 do 80 zł., i zarządzając „Narodnym Domem“, starszyzna ta podwyższyła czynsz, a następnie wypowiedziała „Besidzie“ pomieszczenie w tem, za narodowe pieniądze dźwignionem schronisku ruskiem.

Krok ten naszej galicyjskiej starszyzny, uważałem za niepolityczny, niepatryotyczny, za szkodliwy dla ruskiej sprawy w Galicyi, bo rozdzielił on galicyjską inteligencyę na dwa wrogie sobie ruskie obozy.

Były wprawdzie i dawniej nieporozumienia, znaczne nieporozumienia, kryjące się pod pokrywką kwestyi pisowni, ale Rusini żyli wspólnie, i wadzili się i godzili pod jedną strzechą. Obecnie stało się inaczej. Rusini podzielili się na dwa polityczne stronnictwa, zaczęli jedni drugich unikać, obmawiając się poza oczy, i podając tem samem bicz na siebie w ręce swych wrogów.

Z ukraińskiego obozu wykrzykiwano na śto-jurców, żo to moskale; z śto-jurskiego na ukrainofilów, że to Polacy — i nienawiść do narodowego ruskiego języka tak śto-jurców przejęła, że codziennie wyśmiewali nasz język, wynosili się ponad naród, z którego wyszli, plwali w oczy naszej sławnej kozaczyznie, co za wolność głowy oddała, i ostentacyjnie zaczęli między sobą używać języka — polskiego.

Słyszę jakby dziś, — gdy przyszedłem pewnego razu do restauracyi, gdzie obecnie Stadtmüller, i zastałem tam dwóch moich znajomych, którzy później wysokie stanowiska zajęli między Rusinami — jakby dziś słyszę tę odpowiedź, którą mi dali na pytanie: dlaczego mówią do siebie polsku? — „Po moskiewsku — odpowiedzieli — nie umiemy, po chłopsku mówić nie chcemy, a więc mówimy mową cywilizowaną, polską!“

Jakiż cynizm, jaka ślepa nienawiść do swojskiego! Oni nie mogli tego pojąć, że każdy język w ustach chłopa jest chłopskim, a w ustach wykształconego człowieka, językiem wykształconym.

Podobne wyśmiewania z naszego prześlicznego języka słyszałem często — i rzewnie przemawiały do mnie słowa ojca mojego:

„Oj łyszy z ruska dityni śpiwaty,
Bo ruska dumka — samnyj chrest na hrobi,
A ruska mowa — sorom na podobi,
A ruske serce — tuha stepowaja,
A ruska dola — syrota nimaja.

(O przestań dziecku ruską piosnkę śpiewać,
Bo ruska dumka — smętny krzyż na grobie,
A ruska mowa — wstydem dzisiaj tobie,
A ruskie serce — to próżnia stepowa,
A ruska dola — sierota, niemowa).

Takie i tym podobne wypadki, odwróciły mię całkiem od partyi starszyzny, a przyłączyły do partyi młodszych. Pojmowałem, że można kochać i moskiewskie i swoje, nie sprzeciwiałem się zasadzie: „et hoc faciendum et illud non omittendum“ i widziałem to na uczących się dobrze języka moskiewskiego, ukrainofilach; jednak aby miłość języka, którego się nawet dobrze nie zna, tak wyrugowała z serca język rodzinny, język macierzyński, aby się nim brzydzić, aby go podawać wrogom na urągowisko, tego nie mogłem w mej głowie pomieścić, i serce me odwróciło się całkiem, odwróciło się na wieki od tej idei, którą kochałem, a która spłodziła tak nienaturalne dziwolągi.

Sytuacya polityczna była wówczas dla nas groźną. Ministerstwo było przeciw nam, a polityczny rozum nakazywał zaprzestać sporów i działać społączonemi siłami. Tajne donosy Gołuchowskiego na halicką Ruś, przedstawiły ją — nie bez przyczyny — u rządu i Monarchy za taką, która rzuca się na oślep w ramiona Moskwy, a wice-marszałek sejmu Ławrowski, jeszcze rok przedtem przekonał posłów ruskich, że powinni się trzymać innej polityki, jeżeli mamy uratować od zagłady narodowość naszą w Austryi.

I tak też zrobili. Ławrowski wygotował w formie ugody z Polakami — akt, zawierający w sobie żądania Rusinów, zwrócone do Sejmu.

Widząc nieżyczliwość korony, przeciwność ministerstwa, upadek wyzyskującego nas tylko centralizmu, i widząc, że krajowe sprawy przecież musiały być poruszane w Sejmie, — trzeba było bądź co bądź trzymać się aż do końca tej tak zwanej „ugodowej polityki“, i kto wie czyby nam się było wreszcie nie udało chociaż cokolwiek wytargować dla ruskiej narodowości.

Lecz stało się inaczej. Nasi moskiewscy przyjaciele — (kilka lat przedtem nawet sam P. Kulisz w piśmie do Dziedzickiego) ostrzegali przed zgodą z Polakami, a niemieccy centraliści pisali list za listem do naszych posłów, aby nie wchodzić w żadne układy z Polakami, lecz stanąć w ostrej opozycyi przeciw nim i przeciw federalistycznemu rządowi.

Ruscy deputowani idąc z Naumowiczem i Halką, opuścili Ławrowskiego, a nawet stanęli przeciw niemu i ugrupowali się koło W. Kowalskiego, — a Ławrowski, wybrany prezesem towarzystw „Besida“ i „Proświta“ starał się oprzeć swą ugodową politykę na ukrainofilach — i rozdwojenie między Rusinami zaostrzyło się jeszcze bardziej.

Do tego rozdwojenia przyczyniały się niemało obie te czynne i bezzaprzeczenia patryotyczne osobistości, Ławrowski i Kowalski.

Znałem ich obu, ale nie sympatyzowałem ani z jednym, ani z drugim.

Kowalski był szorstki, zanadto się ceniący, autokrata, a Ławrowski gładziutki polityk. Pierwszy działał zgubnie dla Rusinów przez swoją nietolerancyę dla wszystkiego, co mu się nie podobało, a drugi przez oczywiste dążenie kupowania sobie ludzi różnemi materyalnemi obiecankami. — Ani jeden ani drugi nie mieli wyższego poglądu na rzeczy, polotu myśli, — słowem, żaden nie był tym wszystko-miłującym, wszystko-pojmującym, o wszystko dbającym geniuszem narodowym, na którego by można jakby na jaki obraz patrzyć, któregoby można uznać za nieomylnego twórcę i śmiało iść za nim, dokąd tylko poprowadzi.

Kowalski opierał się i dotąd się opiera na Niemcach centralistach, a Ławrowski opierał się na polskiej arystokracyi i był zwolennikiem federalizmu. Nie mogło się stać inaczej, jak tylko tak, że ja, któremu reminiscencye słowiańskie w żaden sposób nie pozwalały bratać się z Niemcami, poszedłem za Ławrowskim, chociaż mu i nie bardzo wierzyłem, a poszedłem więcej z tego powodu, że on dawał oparcie narodowemu stronnictwu i nawoływał: aby porzucić wysoką politykę, a zająć się całą duszą oświatą ludową i wszelką, jak to nazywają, organiczną pracą.

Nie powinienem właściwie o tych rzeczach wspominać, bo one nie powodowały mię do zastanawiania się nad sobą i nie rodziły w mej duszy nowych myśli i wątpliwości. Jednak czynię to tylko dla tego, aby wyjaśnić, jak się to stało, że dłuższy czas zajwowałem się narodowemi sprawami, działałem w Towarzystwie „Proświty“, nadzorowałem „teatr ruski“ i pisałem; mnie pochłaniała praca, i dłuższy czas nie myślałem ani nad sobą, ani nad dolą Rusi.

Robiło się, robiło się wiele, a ja byłem uczestnikiem niejednej zbawiennej sprawy; strzeliłem nieraz i wielkie głupstwo, myśląc, że Bóg wie jak mądrze czynię..... to rzecz ludzka. O tem wszystkiem niech już kto inny wspomina i pisze. Nie o swoich sprawach ja tu mówię, ale o tem, jaki odgłos w mej duszy i jaki wpływ na mnie wywierały przekonania i sprawy innych ludzi.

Obok gorączkowego zajęcia się oświatą, stronnictwo nasze nie spuszczało z oka ugodowej polityki Ławrowskiego, od której my przecież czegośkolwiek spodziewali się.

Polityka ta upadała. Ona i tak nie była na rękę polskim zagorzalcom, a w dodatku pokazało się, że za nią nie był nikt więcej jak tylko Ławrowski, kilku posłów i nie rozwinięte jeszcze dobrze stronnictwo narodowe ruskie.

Polacy cieszyli się, że dla nas nie będą potrzebowali czynić ustępstw, w nadziei, że nasze rozdwojenie samo doprowadzi nas do upadku — a my poczęliśmy się obawiać, że jeżeli nie przyjdzie do jakie-

---

„GARSTKA.“

Przypomnienie dziejowe

13)

zestawił

BRUNO UBALDUS.

(Ciąg dalszy.)

Spełniły się na narodzie polskim słowa prorocze Piotra Skargi. „Jesteśmy masą pokutniczą“. Jeśli od czasu do czasu dłoń nasza ciska mieczem na wroga, to na znak, żeśmy nie wroga niewolnikami — a tylko Bożymi pokutnikami. Kiedyś ten Bóg: „Ożywi nas i po dwóch dniach, i trzeciego dnia obudzi nas“. Skończą się dnie pokuty, a zejdzie słońce zbawienia.

Przypomniały nam się też słowa, jakie wypowiedział na grobie Joachima Lelewela Rusin — Lew Szewaszkiewicz:

„Półtora zaledwie wieku upłynęło, a proroctwa Skargi co do litery sprawdzone. Chcą nas zmusić, byśmy się zamienili w inne narody, które nas nie nawidzą

Czyż godzi nam się zasłużyć na miano rozpaczających, lub też przeciwnie szukać nauki, laski czarodziejskiej, by uderzyć nią o skałę przywalającą nasze serca, z kądby wytrysnęły i polały się zdroje kojące żale... Wiadzmo, że w naturze rzeczy jest rozległa genealogia czyli powinowactwo wypadków ogólne wszystkich ludów razem wziętych; a jeszcze bliższe pokrewieństwo, jakoby związek, pradziadów z prawnukami, czy w prostej linii pochodzenia, łączące najzgrzybialsze wypadki z najmłodszymi wewnątrz każdego narodu... Naród wprawdzie, na wzór pojedyńczego człowieka, w szczęściu i w dostatku używa rozkoszy, najczęściej o sobie nie myśli, zabija czas i własne swe jestestwo na zmysłowych uciechach. Trudno go poprawić, gdy przywyknie do złego. Aby zmartwychwstał moralnie — potrzebuje katastrofy... „Biada narodom, które nie umią czcić swoich proroków“, mówią przykładem stwierdzają dzieje biblijne. — Lelewel i przestrzegał rodaków, że niepodległość Polski zależy od samoistności polityki narodowej, a ta znowu spoczywa na szanowaniu wszelkich wyznań religijnych, bezwzględnie Protestantów, dysunitów, starozakonnych etc., jako równych nam wszystkich współobywateli; na ufności, mianowicie we własne siły, a za tem tkwi w powszechnej swobodzie, pomyślności, braterstwie, i opieraniu się na milionach pracowitego ludu, gdzie ta niespożyta siła spoczywa. Widział on, że tak myśląc i działając w jedności, przestaniemy być na politycznym rynku jakby towarem, o który pierwszego rzędu potęgi ze sobą się targują. W tem przedsięwzięciu wiele działał, daleko więcej działać zamyślał, dla tego jedynie żyć pragnął...

Dla niego żyli pogańscy nasi ojcowie w czarującej postawie gminowładnej. On widział jak na dłoni, w jakich kształtach i kierunkach zakwitła wiara chrześciańska, poślubiona przez lud prawy, z natury bogobojny, wyznający jednego Boga, czciciel Issy, Radogosta. Przed jego wzrokiem przesuwały się wielkie cienie przewodników narodu: Na tronie, w obozie, w radzie, w zgiełku lub cichej ustroni. Dla niego połyskiwały błonia rynsztunkiem stanu rycerskiego pod Wolą przy obieraniu naczelnika narodu. Dla niego w naszych walnych bojach i zwycięztwach: po za Odrą, Łabą, Dźwiną, Moskwą, Dnieprem, Dniestrem, Wołgą, Oką, Dunajem — szumiały proporce, szczękała broń, stękała ziemia pod czwałem jazdy i hukiem dział, spiewało wojsko: „Boga Rodzico Diewico, Bogiem sławiona Maryo“... On opłakiwał stracone obywatelstwo kmieci, odrywanie się krajów Rzeczypospolitej, wojny domowe z Kozakami, zepsucie obyczajów, rozszarpanie Ojczyzny... to były widowiska, nad któremi na przemian rozpływał się z radości lub jęczał z boleści. Rozpowiadał o minionych rzeczach, jakby o wypadkach współczesnych... Jak kiedy sternik, widząc maszt potrzaskany i żagle na szmaty rozdarte, dla zachowania swej nawy, zachęca majtków do pracy i

gokolwiek kompromisu pomiędzy nami a śto-jurcami, upadek Rusinów w Galicyi stanie się tylko kwestyą czasu.

Wówczas wpadł Wachnianin na myśl zawiązania politycznego towarzystwa pod dawną nazwą „Ruska Rada“, któreby łączyło wszystkich Rusinów dla obrony zagrożonej narodowości naszej, i mówił o tem z ks. Pawlikowem.

Myśl przyjęła się, przyszło do kompromisowego komitetu i zawiązano wspólnemi siłami „Ruską Radę“.

Jednak nie wszyscy narodowcy byli za przystąpieniem do tego wspólnego politycznego towarzystwa, uważając krok ten za abdykacyę z nadziei swoich w samodzielność narodowości naszej. Wiodły się długie i gorące spory pro i contra w pomieszkaniu K. Suszkiewicza, który był od 1860 roku duszą narodowej partyi i jej działania.

Jak on, tak i Wachnianin, Partycki, Romańczuk, Aleksander i Omelan Ogonowscy, Ilnicki, Siczyński, a nawet sam Ławrowski, oświadczyli się za przystąpieniem do „Ruskiej Rady“, i poczęliśmy wpisywać się na członków tego towarzystwa, a aby mieć dyrektywę w naszem postępowaniu, sporządziliśmy narodowy program, przyrzekli trzymać go się święcie, postanowili założyć swój polityczny organ.

i Tymczasom rozeszły się wieści, że my chcemy rozbić „Ruską Radę“. Sto-jurcy zaniepokoili się i zmuszony byłem biegać od jednego do drugiego, zapewniając wszystkich, że nam ani w myśli taki czyn niepatryotyczny, i że postanowiliśmy unikać wszystkiego, co by mogło na ogólnych zgromadzeniach objawić nasze rozdwojenie. Pokazywałem nawet spis tych osób, które chcieliśmy mieć w wydziale, i wykazałem, że chcieliśmy z swojej partyi tylko trzy osoby wprowadzić do zarządu towarzystwa.

Nie pomogło. Przeciwnicy nasi postanowili wydalić z towarzystwa wszystkich wpisanych mężów narodowego stronnictwa, a my dowiedziawszy się o tem, wymogli na Ławrowskim, że w takim wypadku wystąpi z „Ruskiej Rady“, motywując swój krok niepolitycznem i niepatryotycznem postępowaniem śto-jurców.

Przyznam się, że nie wierzyłem, aby do tego przyjść mogło. Rzuciłem się pomiędzy ruskie duchowieństwo, które się było zjechało na zgromadzenie, wmawiałem, prosiłem i przestrzegałem, aby nie dławić zgody w samym zarodzie; a słowa moje były gorące, były przekonywające.

Pamiętam, jak w salach „Besidy“ w przytomności wielu, a wielu, chwyciłem jedną ręką ks. Buczackiego z Jarhorowa, a drugą jego syna, i krzyknąłem, odpowiadając na inwektywy ks. Buczackiego:

„Wyście pracowali i cierpieli cały swój żywot dla Rusi i oto syn Wasz poświęcał się już za młodu dla niej całą duszą, całą swą siłą. Wy patryota — i on patryota. Wy pragniecie dobra ruskiej narodowości, i on, wasz rodzony syn, pragnie tego samego. Jednak wy mówicie, żeście Moskal, a on mówi, że on — Rusin! Ojcze, rznij syna! — synu, rznij ojca! Innej rady nie znam, jeżeli nie chcecie zgody!“

Nie pomogło. Duchowieństwo było dobrze przygotowane, i nie poszło za swem uczuciem, ale poszło za niegodziwą poradą śto-jurców.

„Ruska Rada“ wykluczyła ze swego łona swoich założycieli, wykluczyła wszystkich głośniejszych narodowców, oprócz K. Suszkiewicza i Ławrowskiego i napiętnowała dążności narodowego stronnictwa piętnem czarnej zdrady.

Co ona więcej postanowiła i jak wystąpił Ławrowski, a za nim i patryota bez zmazy K. Suszkiewicz, — o tem mówić nie będę. Powiem tylko to, *że krok ten „Ruskiej Rady“ dopełnił rozdziału ruskiej społeczności i osłabił halicką Ruś na 10 lat*, pozbywając się takiego politycznego rozumu jak A. Wachnianin, takiej intelektualnej i oratorskiej siły jak Andrzej Siczyński, takiego charakteru jak W. Barwiński, W. Nawrocki, i wielu, wielu zdolnych i gorąco-patryotyczrych mężów.

O sobie powiem, że mię ten werdykt „Rady Ruskiej“ po prostu — przeraził, bo wszystkiego innego, ale tego ja nigdy nie spodziewałem się doczekać, aby mnie, który tylko i tem grzeszył, że nadto Ruś kochał, ta sama Ruś wyrzuciła za drzwi.

Samolubstwo moje było głęboko dotnięte. Chodziłem jak ogłuszony, ciągle wzdychając i powtarzając słowa jednej poezyi mojego ojca:

„Bodaj to ruskoj dumoczki ne znaty,
Sercia ne czuty, dolu perespaty!“

(C. d. n.)

KORESPONDENCYE

Z pod starego Sącza

A co, czy nie słusznie mówiłem w poprzednim liście, iż część winy za wykolejenia się, spada i na wiatry; oto dowód: przed kilku dniami jadąc z Suchej do Dobrej, stajemy wśród ciemnej nocy na nasypie koło Osielca; wychylam głowę i pytam co zaszło nowego? „ej panie, nie jest to nic nowego; — wiatr podniósł część podłogi z mostu i położył ją w poprzek szyn, a maszynista czując jakieś łamanie i trzeszczenie pod kołami maszyny, zatrzymał pociąg. Szczęściem ani maszyna, ani wóz żaden się niewykoleił, i mogliśmy ruszyć dalej. Zdaje się, iż budujący ów most przedsiębiorca nie wiedział dotychczas o tak pożytecznym wynalazku, jakim są gwoździe, haki itp. rzeczy, Dotarliśmy szczęśliwie do Osielca, lecz jakież było moje przerażenie, gdy usłyszałem głos naczelnika stacyi, wołającego do maszynisty, by z Osielca do Jordanowa powoli jechał. Zapiąłem futro na wszystkie pętlice, by mi dusza, która już na ramieniu była, nie uciekła, wsunąłem się w kąt wagonu odmawiając „Kto się w opiekę odda Panu swemu“, i oczekiwałem z rezygnacyą mojego losu. Modlitwa widocznie poskutkowała, gdyż przyjechaliśmy szczęśliwie do Jordanowa. Tu znów przed odjazdem usłyszałem głos jakiegoś osobnika: „von Jordanow nach Chabówka langsam fahren“, i rzeczywiście było langsam. Tak raz langsam a raz powoli jadąc, dotarłem do Dobrej, zkąd dostałem się do Limanowej sankami chłopskiemi, nie chcąc szczęścia próbować, aby przebyć wiadukt kolejowy.

W jednej z poprzednich korespondencyj wspominaliście, o nieproporcyonalnem używaniu łupanego szutru w stosunku do rzecznego. Otóż teraz mogę wam donieść, iż są stacye, które o rzecznym szutrze wyobrażenia nie mają.

Jeżeli mamy słuszne powody narzekania na złą pod każdym względem budowę linii Transwersalnej, na której dziś langsam albo powoli, przy 20 stopniowych mrozach jeździć musimy, o wieleż karygodniejsze są wypadki z winy zarządu pochodzące.

Wykolejenie wozu pocztowego pod Zagorzanami dnia 20. b. m. nie może być żadną miarą złożonem na karb złej budowy lini, lecz fałszywej oszczędności; tak wielka stacya jak Grybów, gdzie pociągi dzień i noc przychodzą i odchodzą, ma jednego, mówię jednego ślusarza rewizyjnego, którego obowiązkiem jest każden wóz zbadać, czy niema jakiego uszkodzenia; jeżeli ten człowiek zmuszonym jest dzień i noc być na nogach, czyż można się dziwić, iż chodząc spi, i wypuszcza wóz pocztowy z stacyi z pękniętem kołem.

Drugi wypadek więcej komicznej natury, a którego byłem świadkiem, wydarzył się w Nowym Sączu. Chcąc się dostać do domu, przybyłem na dworzec, oczekując na pociąg idący do Orłowa; wchodzę do poczekalni 3 klasy, tu sala nabita naszymi braćmi w Izraelu, oczekującymi odejścia pociągu do Grybowa. W pół godziny później powstaje pomiędzy nimi ogromny hałas, i wszyscy wybiegają na dworzec; zaciekawiony i ja wybiegam i cóż się dowiaduję: oto pociąg do Grybowa odszedł, a oczekujących na odejście tegoż pociągu chrzczonych i niechrzczonych pasażerów nikt o odejściu nie uwiadomił, a było ich 40 do 50 osób. Zapytane przezemnie inndywiduum, sprawujące tu obowiązki portyera odpowiedziało mi z zimną krwią: „iż wszystkim obowiązkom podołać nie może“.

Powodem dezercyi 8 wagonów szutrem naładowanych ze Zwardonia na początku Grudnia, a które dopiero na czwartej stacyi przychwycono, i których przejażdżka kosztowała życie dwóch robotników, a jednego ciężko skaleczyła, nie było też nic innego jak zastosowanie fałszywej oszczędności, gdyż zamiast ludzi wyobrażenie o swoich obowiązkach mających, używano górali.

Kończę maleńką interpelacyą do Sz. Zarządu kolei państwowych. Czy główniejsze restauracye na dworcach kolejowych muszą koniecznie być żydami obsadzone? Nasuwają mi się tu pomimowolnie słowa naszego Cavoura z Krasiczyna, który powiedział, że interes pieniężny niema nic wspólnego z miłością ojczyzny; tak samo i my, miłujemy braci żydów, ale nie gdy chodzi o interes, gdy chodzi o restauracye kolejowe.

Historya ukazu carskiego

przeciwko Polakom.

Petersburgski korespondent *Schlesische Ztg.* tak pisze o doniosłem znaczeniu najnowszego ukazu w sprawie nabywania dóbr w guberniach zachodnich Rosyi: Wobec ważności tego aktu, musimy się zwrócić wstecz i zastanowić nad jego powstaniem. Po stłumieniu ostatniego ruchu, namiestnik Królestwa w r. 1864 hr. Berg, zaproponował, ażeby dobra, które uległy konfiskacie rozprzedać, częściowo kolonistom niemieckim, ponieważ ci znani byli od dawna jako zawołani rolnicy. Namiestnik wileński Murawiew nie sprzeciwił się temu w zasadzie, wyraził jednak przekonanie, że po części już zrussyfikowane gubernie, jak kijowska, podolska, wołyńska, wileńska, grodzieńska, kowieńska, witebska, mohilewska i mińska, tylko w takim razie mogą się przeobrazić na rosyjskie, jeżeli do kolonizacyi użyje się przeważnie żywiołu rosyjskiego. Utworzona w celu zbadania tej sprawy komisya, wyraziła w relacyi z roku 1865 następujące zapatrywanie: „W nowych guberniach zachodniej Rosyi, przypada na dziesięć milionów ludności przeważnie małoruskiej i litewskiej, bardzo nieznaczny procent żywiołu polskiego. Żywioł ten, który się składa przeważnie z większych właścicieli dóbr ziemskich i mieszkańców miast, wyciska jednak silne piętno polskości i nadaje guberniom tym charakter polski, nie dozwala rozwijać się prawidłowo reszcie ludności, bynajmniej nie polskiej, jest oraz główną przeszkodą, że ludność tych gubernij nie może korzystać z reform

---

wytrwałości, kieruje się niebem i gwiazdami, tak on po upadku kraju wyczytał wyroki nasze na niebie w prawach Bożych, w narodowej wierze i w żywotności, w nieodzownej kolei obrotów rodu ludzkiego i konieczności dziejowego postępu. Czując, że największy wróg człowieka jest w nim samym, w fałszywych wyobrażeniach, przesądach, namiętnościach, próżniactwie, usiłował głosem, piórem, przykładem, wady te wykorzenić.

Dla podniesienia zaś szlachetnej dumy narodowej, sprzysiągł się i namówił niejako z bohaterami ubiegłych czasów, elektryzował serca żyjących, i rzucił podwaliny niezdobytej warowni dziejów naszej przeszłości. Jestto siejba, której owoc dojrzewa... Lelewel ostrzegł niepodległe i szczęśliwsze ludy. aby pamiętały na los Polski, że w narodach muszą się objawiać wspólne losy, pomyślność lub katusze...

Co za ćma wrażeń ciśnie się do głowy, kiedy cichą myślą przechadzamy się po gruzach Babilonu, Niniwy, Persepolis, Tyru, Kartaginy Herkulanum, Pompei — gdzie niegdyś tłumy ludu i huczna wrzawa ożywiała te strony! Ileżto olbrzymich mocarstw materyalnych zagrzebało się w niepamięci — nic po sobie niezostawiwszy, i nikt po nich nie żałuje! Co za przestroga dla wszystkich tak zwanych potęg dzisiaj pysznie sterczących, które nie żywią w sobie nieśmiertelnego ducha postępu... Jaką pociechą rozpamiętywać, że człowiek pojedyńczy, w miarę jak żyje dla moralnego dobra ludzkości, gdy się nawet w proch obróci — nie umiera — lecz zostaje prawdziwą, niezgasłą nigdy potęgą. Jeżeli zaś nieśmiertelność przynależy pojedyńczym wielkim ludziom, tem bardziej wielkim narodom, co nie zapomniały swego świętego posłannictwa. W tem położeniu jest Polska... jako moralna potęga, żyje ona zwycięzko, przeraża swych wrogów, a jej oddech słyszy i czuje cała Europa. W dziejach rodu ludzkiego, podobnie do pór roku, zachodzą różne dobitne zmiany. Po ponurej zimie, z każdą wiosną stroi się przyroda w świąteczną niejako barwę; liczymy czas na sekundy, minuty, dnie, lata, wieki, zdaje się nam, że wespół z nami bez ustanku płynie. Czas jednak nie upływa, i ruch onego jest tylko pozornym dla nas, dla tego, że przezeń przechodzim, jako doczesni wędrowce. Rozwinięty tylko duch człowieka, dojrzałe pomysły i czyny, tworzą wieki całe, mijające jedne po drugich pokolenia — a echo tego życia rozlega się nieskończenie po drodze przyszłych pokoleń, staje się najdroższem dziedzictwem ogółu.

„Wypadki z lat 1861—1864 w Warszawie i po całym kraju, jakby łuna rozpostarta ogniem, piętnują te czasy... w historyi krwawemi znakami, których nigdy nie obmyją wszystkie rzeki tego świata“.

Wrażeniu takich tradycyj, równie jak cały naród, nie był w stanie oprzeć się i autor „Porozbiorowych aspiracyi politycznych“, zanegował tem swoje niewłaściwe i małoduszne obliczenia i fałszywie zakreślone dążenia, pisze bowiem Stanisław Z... na 350 stronie:

„Każdy bezstronny historyk przyzna, że nie mogło stać się inaczej. O kompromisie między narodem polskim i Rosyą, czyli o programie margrabiego Wielopolskiego nie mogło już być mowy, a nawet każdy Polak miał obowiązek uwydatnić, że temu programowi jest przeciwnym. Każdy Polak nie byłby uniknął usprawiedliwionego zarzutu odstępstwa od sztandaru narodowego, gdyby... stanął wyraźnie po stronie kompromisu z Rosyą. Ludzie.., zachowujący dotąd bierną postawę, nie zawahali się kierunek co prędzej objąć — jedni weszli w skład tajnego rządu narodowego, drudzy zajęli miejsca w jego organach wojewódzkich, powiatowych i miejskich.

Dla uwydatnienia, że ruch w Polsce przeistaczał się w ruch całego narodu, a przynajmniej stał się ruchem popieranym przez cały naród... przeważna większość... szła za głosem obowiązku, nie łudząc się bynajmniej nadzieją pomocy mo-

przedsięwziętych przez monarchę. Siła tutejszej polskiej ludności w guberniach wspomnianych, zasadza się na społecznej spójni własności nieruchomej, która nie pozwala żadnej innej, a szczególnie rosyjskiej narodowości zrobić wyłomu. W takich stosunkach, sądzi komisya, musi rząd uciec się do środków, któreby nie dopuszczały do nabywania dóbr ziemskich, osób pochodzenia polskiego w guberniach zachodnich. Z tem wszystkiem, mniema komisya, że rozporządzenie to nie może czynić żadnego uszczerbku dotychczasowym właścicielom dóbr ziemskich w prowincyach zachodnich państwa, zapobiegnie jedynie wzmocnieniu się tej klasy narodowości polskiej".

Przytoczywszy powyższy akt urzędowy, pisze dalej korespondent petersburgski: „Po otrzymaniu powyższej opinji, wydał car Aleksander II. w grudniu 1865 r. ukaz, zabraniający osobom pochodzenia polskiego, nabywania dóbr. Rozporządzenie to w pierwszych latach odniosło skutek pożądany. Wiele dóbr, które uległy konfiskacie, przeszło w ręce rosyjskie lub niemieckie. Skoro jednak surowość prawa przeciw Polakom zwolniała, umiano postanowienie jego obejść. Skutkiem pozornych nabytków, niby w drodze kupna, dzierżaw i zastawów, zagnieździł się znowu żywioł polski w tych prowincyach, i zamiast zamierzonej russyfikacyi, rozpoczęło się na odwrót — polonizowanie. Dopomagali do tego i niemieccy właściciele, którzy skutkiem zawieranych małżeństw, wchodzili w koła polskie, a w końcu nawet nazwiska swe niemieckie, zamieniali na polskie i stawali się najzaciętszymi nieprzyjaciołmi russyfikacyi. W tych pozornych kupnach brali udział także rossyjscy urzędnicy, przychodząc w łatwy sposób do posiadania, chociaż w następstwie oddawali wszystko znowu w ręce polskie, a sami figurowali jako nominalni właściciele. Temu stanowi rzeczy ma zapobiedz najnowszy ukaz carski".

KRONIKA.

W Imieniu Jego Cesarskiej Mości!

C. k. Sąd krajowy dla spraw karnych orzekł na mocy §§. 489 i 493 sp. k. i §. 37 up. że treść artykułu umieszczonego w Nrze 19 czasopisma *Strażnica polska*, z dnia 11. Stycznia 1885 pod napisem: „Garstka", zawiera znamiona występku z §. 305 u. k., zatem usprawiedliwioną jest zarządzona przez c. k. Prokuratora rządowego konfiskata tego czasopisma. Wskutek tej uchwały wzbronione jest dalsze rozpowszechnianie tego artykułu, a zabrany nakład ma być zniszczony.

Powody: W inkryminowanym artykule zachwala autor czynności ustawą zakazane, co stanowi istotę czynu występku z §. 305 u. k., zatem wyż przytoczone orzeczenie uzasadnione.

Lwów, dn. 21. Stycznia 1885.

Wskutek konfiskaty Nr. 18. *Strażnicy polskiej* przez c. k. Prokuratoryę państwa, odbędzie się rozprawa jawna przed c. k. Trybunałem sądu krajowego we Lwowie dla spraw karnych, dnia 6. Lutego b. r. o godzinie 3 i pół po południu przy ulicy Halickiej.

Nowy proces karny, a coś tak dwudziesty z rzędu, ma znów na porządku dziennym redakcya *Sztandaru polskiego*. Aby jednak ten wypadek ludzki miał nam sprawiać jakąś drzączkę, do tego nie możemy się przyznać; — bo gdy rzecz dotyczy obrazy p. Gubrynowicza, księgarza lwowskiego, to jakoś damy sobie tam z nim radę.

Jak to mówią: nie ma jednak złego, coby na dobre nie wyszło. Redakcya *Sztandaru pol.* i na tem procesie już zyskała, bo Szan. czytelnicy *Gazety narodowej, Dziennika polsk.* a nawet *Kurjera lwowskiego*, gotowi myśleć, że *Sztandar polski* i *Strażnica polska* już wcale nie istnieją. Otóż tak źle dzięki Bogu nie jest, żyjemy jeszcze; o czem można się było przekonać z wyżwymienionych pism, które pomimo wyrzeczenia wyroku: solidarnego zamilczania o „piśmidłach rewolwerowych", tym razem nie omieszkały jak najspieszniej donieść urbi et orbi, że p. Władysław Gubrynowicz, księgarz lwowski, wytoczył proces karny o obrazę honoru redakcyi *Sztandaru polsk.*

Teraz znów, gdy i na nasze pisma spadł w jednym miesiącu aż trzy razy fatalizm konfiskaty, a fakta takie wonne Timesy nadpełtwiańskie z kronikarską skrupulatnością notują, zamilczają o *Sztandarze pol.* i *Strażnicy polskiej*, jako o „piśmidłach szaulkowych", wyklętych przez potęgi dziennikarskie lwowskie, Schreibjüngełesów i tym podobne znakomitości. Ze tym podobny śmieszny idyotyzm praktykuje się u Schweiggeldzistów w *Dzienniku polskim* i *Gazecie narod* pod takimi szef-redaktorami jak eksnotaryusz Michał Sawicki i Karol Groman, to nas bynajmniej nie dziwi; ale że do tej „ligi trójdziennikarskiej" przyłączył się i p. Henryk Rewakowicz, redaktor *Kurjera lwows.*, przekonuje nas, że pogłoska, jakoby wyzwolił się z pod panowania i protektoratu czuwających nad nim w redakcyi Schreibjüngełesów, jest mylną. Inaczej p. H. Rewakowicz pomimo krótkiego wzroku, przekonałby się, że tego rodzaju zamilczanie o nas i solidaryzowanie się z organami Schweiggeldzistów, nie szkodzi nam, ale jemu samemu i *Kurjerowi lwowsk.* Pojmujemy, że zajmowanie się polityką „Agudas achim" i wysokie stanowisko jakie tam zajmuje obok profesora Dr. Roszkowskiego, nakazuje mu pilnować tego dla niego ideału narodowego. A chcąc być „koszer", nie może nic mieć wspólnego z wrogiemi organami Dr. Filipowi Zuckrowi i Zygmuntowi Frühling-Frylingowi.

Po pogrzebie śp. Tadeusza Żulińskiego, Timesy nadpełtwiańskie wraz z *Kurjerem lwows.*, w sprawozdaniach swych zamilczały również, że redakcya *Sztandaru pol.* i *Strażnicy polsk.*, zaniosła w szeregu z innymi wieniec, na grób towarzysza więzienia i tułactwa, „Apostoła wielkiej idei narodowej". Nad grobem zaś przemówił redaktor, J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Zdziwienie z tego powodu było we Lwowie niemałe, a epitety jakie głośno wymawiano, oznaczając redakcye Timesów, nie były ciekawe dla tychże. Wyobrażamy więc sobie, w jaki humor wpadł p. Karol Groman, gdy na wyraźne żądanie rodziny śp. Tadeusza Żulińskiego, zmuszony był wspomnieć i o naszym wieńcu. Ze redakcya *Gazety narodowej* nie dostała dławicy, to rzecz dziwna i szczególna.

Nas to zamilczenie bynajmniej nie gniewa; — przeciwnie, śmieszna ta głupota prawdziwie idyotyczna, oddaje nam znakomite usługi, bo nawet dotychczasowych przeciwników naszych pism, a którzy nie są idyotami i nie zerwali jeszcze z uczciwością obywatelską, zbliża do redakcyi *Sztandaru pols.* i *Strażnicy polskiej.*

Zwracamy uwagę przemysłowców naszych, na odbyć się mającą w czerwcu 1885 r., w nieodległym Królewcu, wystawę maszyn i motorów, używanych w drobnym przemyśle i rzemiosłach. Wystawa obejmować będzie osiem grup, rozdzielonych na 36 klas, a mianowicie: motory (do 5 koni parowych) przewody, robocze, pomocnicze i rzemieślnicze maszyny, fizyczne i chemiczne aparaty, techniczne podręczniki dla wykładu rzemiosł, aparaty w domowem użyciu do celów gospodarskich, i w końcu maszyny, oraz narzędzia rolnicze. Wystawa będzie międzynarodową i ma trwać przez osiem tygodni. Rossya została zaproszoną do udziału — lecz nie o udział nam chodzi, gdyż w tym kierunku nie mamy się z czem chwalić, ale winniśmy bardzo wiele uczyć. Należy przeto, aby tutejsze koła rzemieślnicze postarały się z pewnym z góry nakreślonym programem, jak najliczniej zwiedzić wystawę, zbadać jej szczególności i organizacyę, gdyż dla postępu naszych rzemiosł, naśladowanie w naszem Muzeum przemysłowem tego rodzaju ekspozycyi, byłoby rzeczą pierwszorzędnej ważności.

„Co mi zrobisz" — czyli pan Carlo Ronchetti. Jak nam donoszą z dobrze poinformowanych źródeł, pan Carlo Ronchetti, alians baronów Schwarców, Grossów, Knauerów i ich wspólników, którzy tak prześlicznie ubrali Galicyę w budowę kolei Transwersalnej, postanowił nie ustępować z placu i dalej eksploatować. Na jego porządku dziennym jest obecnie linia „Stryj—Munkacz", gdzie już naprzód jakby był zupełnie pewien, iż tylko on tam uszczęśliwiać będzie Galicyę, kieruje swoją włoską armią. Nie jest już tajemnicą, pod czyją firmą będzie budował Ronchetti kolej Stryj-Munkacz. Firmę tę, ale tylko firmę ma dać jakiś p. Roth, który stoi w bardzo bliskich stosunkach z p. Br. Schwarz, ale nie jest jeszcze przynajmniej w Galicyi skompromitowany. Za firmowanie budowy kolei Stryj-Munkacz ma on być innem przedsiębiorstwem — „odszkodowany".

Pewni nasi pp. delegaci w Radzie państwa, mają i o tych planach wiedzieć, lecz czy uważać będą za właściwe i nieszkodliwe ich pracom na polu „wyższej polityki", o tem się wkrótce przekonamy.

Z życia towarzyskiego. Rubryka ta, mianowicie w karnawale nader pożądana, nie jest specyalnością naszego pisma. Tym razem jednak odstępujemy od zasady, aby dać wyraz prawdzie. W sobotę odbył się bal techników w sali kasyna miejskiego. Jak wiadomo, bale te odbywają się z takim przepychem dekoracyi sali i przybocznych apartamentów, na jakie się inne grona towarzyskie zdobyć nie mogą. Przepych ten nie jest wprawdzie bardzo kosztowny realnie, ale zasadza się na pomysłach i twórczości prawdziwie artystycznej. Wielu z lwowian pamięta jeszcze od roku zeszłego pyszną dekoracyę która przedstawiała dno morskie z jego wszelkiemi cudami. W tym roku pomijając już prawdziwie artystyczną dekoracyę sali głównej w rośliny i emblemata techniczne, przyboczna salka dla dam, przedstawiała czarodziejski urok. Za temat posłużył „Wschód", Wchodząc do tego przybytku wytchnienia, było takie złudzenie, iż śmiertelnikowi lub śmiertelniczce mogło się słusznie zdawać, że się znajduje w pałacu jaklegoś Naboba, sułtana egipskiego. Trzeba było mieć rzeczywiście wysoko rozwinięty zmysł artystyczny, aby z taką ułudą coś podobnego stworzyć. Kolumnada w stylu wschodnim maurytańskim, obicia w kosztowne materye, suflt, a na ścianach akcesorya bojownicze i inne, oraz i wszystkie sprzęty, tworzyły piękną harmonię. Pavilon ten oświecony od sufitu ażurową lampą w piękne ciemne floresy, z której jakby magiczne światło, dodawało uroku. Widok z pawilonu wychodził na śliczny krajobraz, rozpoczynający się żywemi tropikowemi roślinami, a kończący

---

carstw zachodnich. W tym braku złudzeń, i w pojęciu tego obowiązku leży niezaprzeczona ich zasługa, ktora potęguje myśl, iż każde ich działanie było połączone z niebezpieczeństwem; każdy krok z narażeniem życia, wolności i majątku. Cześć więc ich pamięci!"

Że taki duch ożywiał naród, że takie położenie zmuszało moralnie i fizycznie do czynnej reakcyi, zdaje się, tem, cośmy tu powiedzieli, jest dostatecznie wyłuszczonem i usprawiedliwionem.

Konstatujemy, że obraz wypadków 1863 r. zniewolił nawet służalczy zastęp „Garstki" do podziwu, i nawet autora „Aspiracyj" do zapisania słów: „Cześć ich pamięci". — Lecz spuścizną naszą, jeżeli ma być „cześć ich pamięci", nie wolno nam bezcześcić — jak to czyni „Garstka" — czynów tych, których my czcimy.

Kościuszko powiedział:

„Pierwszy krok do zrzucenia niewoli, jest odważyć się być wolnym; drugi krok do zwycięztwa, poznać się na własnej sile".

Toż Rząd narodowy tajny, działający we wszystkich dzielnicach dawnej Polski, polecił organizacyę sił zbrojnych w różnych powiatach kraju, ku prowadzeniu podjazdowej wojny, w uwzględnieniu słusznem, że nieprzygotowani do walki rozpaczliwej — nie mieliśmy ku temu potrzebnych warunków, jak: podstawy operacyjnej, linii odwrotowej, rezerw, kas, zapasów i fabryk broni, amunicyi, odzieży, obuwia, a wreszcie i żywności.

Czy taka wojna mogła nam przynieść jakiekolwiek korzyści nad nieprzyjacielem? — Oto pytanie, jakie niejeden i niejedenkroć wznawia. Znalazłbym odpowiedź na to również w słowach Wincentego Pola:

„Ofiara nie przepada,
Kto ją na ołtarzu składa".

Tudzież w zdaniu wielkiego patryoty ś. p. Franciszka hr. Wiesiołowskiego:

„W dziejach narodu wszelki czyn w szlachetnej myśli podjęty, nie idzie marnie".

W każdym narodzie, a więc i w naszym, znachodzi się podostatkiem giełdziarzy, kramarzy, bankowiczów i różnego rodzaju rzesza spekulantów i fagasów, czyhających nieustannie i nienasycenie na zarobki codzienne w lekki sposób. Ztąd to, gdy tacy ludzie doprowadzają szaloną grą na giełdzie, lub w inny jaki sposób, do maksymalnej możności szalbierczych zysków — wrzask tych szalbierzy i wyzyskiwaczów dobra powszechnego, tłumi w razie jakichkolwiek ruchów narodowych, głosy przewodnie myśli narodowej. Ludzie tacy zwykle łowią się z kosmopolitycznej „Garstki", ze zmateryalizowanych Nababów giełdowych, i zdaje im się, że cały świat musi się kierować wedle ich dążeń giełdowych, oni też cyframi chcą budować etyczny rozwój ludzkości. Gdy więc przy ruchach jakich, te lub owe straty społeczność ponosi, „Garstka" ta wypomina to niepomiernie. A gdy na nieudałych spekulacyach giełdowicze obłupiają kraj na miljony lub miliardy — to „Garstka" w takim razie przykładnie milczy. Zatem głos takiej „Garstki" w dziejach ludzkości nigdy nie ważył i ważyć nie będzie. Już Chrystus wygnał z domu Bożego kramarzy i handlarzy, bo gdzie duch ludzki rozmawia z Bogiem, tam powszednia targowica miejsca mieć nie może. To samo rozumie się i o etycznych dążeniach ludzkości, nie mających nic wspólnego z zmateryalizowanym oportunizmem, z „Garstką" szalbierzy i giełdziarzy. Przypominają się nam słowa Mickiewicza: „Przy poziomem świetle rozum szkolny pozapalał sobie światła sztuczne, pozakładał przy nich warsztaty, fabryki, sklepy i audytorya. Ciągły ruch i turkot machin, wrzask przekupniów i dysputy profesorów, zagłuszają ich samych.. Gwar ten wtedy tylko ucicha, gdy pioruny z nieba bić zaczną, albo ziemia się zatrzęsie. Przekupnie wtedy chronią swoje mienie, krzykaczom głos zamiera ze strachu, wtedy to naród słyszy... głos górny.. oświecony światłem wiary, który jego losami, jak sternik okrętem kieruje". (C. d. n.)

malowniczą dekoracyą, która przedstawiała ruinę świątyni w okolicach Kairu, jakby występującą z lazuru południowego nieba. Całość tego pawilonu wraz z dekoracyą, mogłyby śmiało nawet w najpierwszych stolicach na balach królów i książąt ubiegać się o poklask. Na tych uwagach kończymy opis a przystępujemy do epilegu:

Znakomici reporterzy Timesów i Kurjerów lwowskich, jest to zupełnie nowa species protektorów, z których każdy ma swoich odrębnych klientów. Reklamy ich graniczą jednakowoż często ze śmieszną bożczelnością, a którą nie reporterom, ale ich protegowanym szkodzą. Tak się też stało i przy opisie balu techników. Jeden doniósł, że twórcą tych pysznych dekoracyi i własną ręką malowanego krajobrazu perspektywicznego jest p. Ken politechnik; drugi znów ostrowidz głosi znowu sławę p. Sozańskiego artysty malarza dekoratora, który go zapewne o to nie prosił ani też upoważniał, gdyż jak przekonani jesteśmy, tak jeden jak drugi z tych panów zanadto cenią własną godność, aby się do podobnej blagi uciekać.

Wykonawcą głównym całej dekoracyi sali pawilonu i krajobrazu, który własną ręką malował, jest nie kto inny tylko znakomity nasz architekta p. Kamienobrodzki. Jemu też w pierwszym rzędzie należy się uznanie. Panowie Sozański, Ken i kilku techników pomagali mu dzielnie w tej pracy, której jeden człowiek oczywiście wykonać nie mógł, a płatnymi współpracownikami posiłkować się w takich razach nie można, bo tu potrzebne zrozumienie artystyczne.

Ubierać drugich w pawie piórka a zapominać o pierwszym zupełnie, gdy się to nareszcie dzieje na lwowskim bruku a nie w Paryżu, Wiedniu lub Londynie, gdzie można być w błąd wprowadzonym, czegoś podobnego może się tylko dopuścić lwowski reporter, udający protektora artystów.

Donoszą nam z Kołomyi, że E. H. Schreyerowi i spół. zdarzył się temi dniami nader niemiły wypadeczek. Drohobycka ta firma, należąca do znanej tu u nas kliki talmudyczno-jezuickiej: Goldhamera, Gartenbergów, Libermanów etc., posiada rafineryę nafty w Kołomyi i pobiera kipiączkę z kopalni braci Spindler i tow. z Peczyniżyna Otóż za tę kipiączkę trza płacić. — E. H. Schreyer i spół wyrachowali, że jeźli kipiączkę z tych kopalń wezmą bez wiedzy właściciela, to im to taniej wyniesie. Polecili więc swemu wiernikowi Getzlowi Altman, ażeby jeden rezerwoar, mieszczący w sobie 50 beczek kipiączki, wartości około 2000 złr. wyprowadził z kopalń w tańszy sposób. — Pan każe, sługa musi, osobliwie jeźli sługa taki sam, jak pan. Altman porozumiał się z kasyerem kopalni; ten wziął pozornie 500 złr. za „Geschäft", kipiączkę wydał, ale równocześnie zawiadomił braci Spindlerów i spółkę, jako ich krewny, o tem co się stało...!

Ci G. Altmana z kipiączką capnęli na gorącym uczynku i .... zamierzyli całą sprawę oddać do karnego sądu...!

Altman w krzyk, że mu tak Schreyer zrobić kazał. Spindlery do Schreyera, a Schreyer do kasy; zapłacił biedaczysko 6000 złr. aby Spindler milczał.

Nieszczęście chciało jeszcze do tego, że ze Spindlerem w spółce był Hersch Finkelstein, Kołomyjski Goldhamer. Finkelstein milczeć nie chciał, aż mu Schreyery dali osobno 10.000 złr.

Tak więc fachowo przez Schreyerów et Comp. obrachowany tańszy sposób wywozu nafty z cudzej kopalni, jakoś się w Kołomyi nie udał. Za 2000 złr. zapłacili Schreyery 16.000 złr., kipiączkę nazad oddać musieli, a oprócz tego bracia Spindlery zerwali z nimi wszelkie stosunki handlowe, mówiąc że to nie Borysław...! Radzimy braciom Spindlerom mieć się jednak na baczności, bo członkowie wspomnianej kliki nigdy nie dają za wygrane i pozostają w bliższych stosunkach z borysławskimi „kuczynerami", niż się Spindlerom to zdaje!

Korespondencya od Redakcyi.

Wzywamy pp. Leona i Władysława Czajkowskich, którzy przed kilku laty byli przy budowie kolei w Rumunii, Serbii czy też Bułgaryi, aby jak najspieszniej podali swój adres do naszej redakcyi. Szczególniej zależy na adresie p. Leona Czajkowskiego, którego familia poszukuje we własnym jego a ważnym interesie. Być może, że ktoś z Rodaków wie o pobycie pp. Czajkowskich, niech więc raczy donieść.

Od Administracyi.

Wszystkie należytości i zaległości tak z prowincyi jak i miejscowe, prosimy przysyłać za przekazem pod adresem:

Do Administracyi Sztandaru polskiego (lub Strażnicy polskiej), na ręce p. Szczęsnego Bednarskiego, w drukarni p. Anny Wajdowiczowej, Rynek l. 9. we Lwowie.

Prenumerata na „Sztandar polski" i „Strażnicę polską" wynosi kwartalnie we Lwowie z przesyłką pocztową **1** złr. **70** ct., na prowincyi **1** zł. **75** ct. za granicą **2** złr. rocznie na prowincyi 7 złr., za granicą 8 złr.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor J. N z Oleksowa Gniewosz. Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9. Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.